

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcji: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracji: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 40 z dnia 6 października 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

POLECA:

WĘŹNY,
BAWELNY,
JEDWABIE

BIELIZNIE I GALANTERJE:

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA.

WYPRAWY ŚLUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA
DEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKIENKI DLA PANIENK-UPRANKA DLA CHŁOPCÓW-DEKIESZE I PALIOTY DLA PANÓW

OBUWIE:
DAMSKIE I
DZIECIĘCE

10394

Z zagadnień państwowości polskiej.

Drogi żelazne Królestwa Polskiego.

(Wywiad z inż. Tomaszem Kociatkiewiczem, przewodniczącym Wydziału Komunikacji Dróg Lądowych i Wodnych przy Tow. Przemysłowców).

Rozpocząć się niebawem mająca odbudowa państwa polskiego stanie przed licznymi zagadnieniami, nieraz bardzo skomplikowanymi i niezmiernie trudnymi do realnego wprowadzenia w życie.

Część tych zagadnień wyłoni się dopiero w najbliższej przyszłości, część jednak znacznie już istnieje i już może być rozpatrywana, już dyskutowana... chociażby nawet pod kątem różnorodnych przypuszczeń.

Wiele naszych instytucji społecznych rozpoczęło prace przygotowawcze w tym kierunku, przygotowując w tym okresie przedwstępnym materiały potrzebne do medalek już może działać. Wydawać się tedy może celowym zaznajomienie szerszego ogółu czytelników naszych z istotnym stanem najważniejszych gospodarczych zagadnień państwowości polskiej, oraz odpowiedzieć na pytania: w jakim stadium znajdują się prace przygotowawcze i jak daleko mogą być posunięte.

W takich wypadkach celowa będzie zawsze jak najszybsza o tym

wiadomość, która może wyłonić jeszcze niejedną wartościowy projekt i niejedną poważną wątpliwość odślonić.

Potrzebne jest w tych wszystkich sprawach jak najszybsze zainteresowanie i jak najszybsza dyskusja.

Na pierwszy ogień wybraliśmy sprawę dróg żelaznych, jako sprawę, która jeszcze przed wojną do najbardziej piekących należała, a po wojnie natychmiast będzie musiała być załatwiona.

Informatorem naszym był inżynier Tomasz Kociatkiewicz, przewodniczący Wydziału Komunikacji Dróg Lądowych i Wodnych przy Tow. Przemysłowców.

P. Kociatkiewicz jest znanym i powszechnie cenionym specjalistą w dziedzinie kolejnictwa polskiego, od dłuższego też przeciągu czasu sprawą tą energicznie się zajmuje. Dziś stoi na czele instytucji, której działalność może niebawem szeroko się rozwinąć.

Oprócz bowiem Tow. Przemysłowców tylko przy Stow. Techników

utworzony został w początku roku bieżącego Wydział Dróg Lądowych, który zajmuje się wszelkiego rodzaju komunikacją ze stanowiska technika polskiego. Na czele tego Wydziału stoi drugi wybitny nasz znawca kolejnictwa, inżynier Gołębiowski.

Tabula rasa.

— Jak to jest powszechnie wiadomym — zaczął rozmowę p. Kociatkiewicz — sieć kolejowa Królestwa Polskiego jest rozwinięta znacznie słabiej, aniżeli w sąsiednich dzielnicach Polski. Niewątpliwie tedy koniecznym jest jej rozwój i znaczne rozszerzenie. Mało jednak o tym powiedzieć można, gdyż przyszłość naszych dróg żelaznych to *tabula rasa*.

— W czym pan widzi najpoważniejsze przeszkody?

— Przedewszystkiem nie mieliśmy i nie mamy ustawodawstwa kolejowego.

— Dotychczas opieraliśmy się na ustawodawstwie rosyjskiem.

— Tak, ale ustawodawstwo to nie było uzgodnione z zasadniczym prawem naszym, choćby np. z naszym kodeksem cywilnym. Było to ustawodawstwo nam narzucone i obce, chociaż w samej zasadzie prawa transportowego wychodziło z założenia na całym świecie przyjętego, to jest berneńskiej konwencji międzynarodowej, która obowiązuje wszystkie państwa europejskie. Jednym

tedy z najpilniejszych i najpierwszych zadań naszych będzie zbudowanie własnego ustawodawstwa kolejowego we wszystkich szczegółach.

— Co można robić w tym kierunku już teraz?

— W każdym razie niewiele, trzeba bowiem by było rozstrzygnąć, jak się będzie przedstawiała forma naszej państwowości.

Tor Stefensona i tor rosyjski.

— A pozatym — ciągnął dalej inżynier Kociatkiewicz — trzeba także zdecydować, do jakiej z dwóch wielkich sieci europejskich, na pograniczu których znajdujemy się, upodobnimy się w najbliższej przyszłości?

— To znaczy?

— Mamy do wyboru dwa tory, Jeden zachodni, t. zw. Stefensona, drugi zaś szeroki, rosyjski.

— Co ma z tym wspólnego ustawodawstwo kolejowe?

— Ustawodawstwo kolejowe jest zależne od typu toru i łączności z jedną czy też z drugą siecią kolejową. Dotychczas byliśmy tym dziwnym krajem, w którym normalne drogi żelazne najzupełniej były niejednolite. Stan taki dłużej trwać nie może. Musimy zdecydować się na jeden typ wszystkich dróg normalnych. Do czasów wojny oprócz drogi Warszawsko-Wiedeńskiej i Fabrycznej-Lódzkiej wszystkie nasze koleje były szerokotorowe. Obecnie musimy liczyć się z tym faktem, że wszystkie linje kolejowe po Rygę, Baranowicze i Dźwińsk zostały przerobione na tor wązki.

— Czy należałoby ten typ utrzymać?

— Ależ bezwzględnie. Tor rosyjski jest wprawdzie szerszy, ale ta szerokość nie przedstawia żadnych zalet, a wszystkie cechy ujemne. Szeroki tor wymaga szerszych podkładów, więcej materiału i szerszego paśa wywłaszczenia.

Przyjmując tor zachodni, będziemy musieli oprzeć się również na ustawodawstwie austriackim i niemieckim, które pomiędzy sobą bardzo są zbliżone. Wogóle należy zaznaczyć, że w czasach ostatnich w całej niemal Europie dążono do jak największego uzgodnienia ustawodawstwa kolejowego. Od naszych zachodnich sąsiadów różni nas może tylko stosunek państwa do dróg żelaznych. I tu może należałoby nam pójść bardziej za Francją, choćby z tego powodu, że nasze za-

sady prawne wyszły z jednego i tego samego kodeksu Napoleona.

— A prawo transportowe?

— Co do prawa transportowego i wszystkich przepisów wykonawczych należałoby osiągnąć jak największą zgodność z naszymi sąsiadami.

Polityka kolejowa Rosji.

— Rosja nigdy dróg żelaznych u nas budować nie chciała — zacząłem, przechodząc na inny temat.

— Zasadą rządu rosyjskiego było nie budować ze względów strategicznych żadnych nowych linii na lewym brzegu Wisły. Z wielkim trudem zdołano przełamać w ostatnich lat dziesiątkach drogę Kaliską i drogę Herby-Kielce.

Mały rozwój dróg żelaznych dał się Rosji podczas wojny wielce we znaki. Sami tedy podczas wojny musieli budować drugi tor na linii kowelskiej i sieć kolejek podjazdowych. Powstały takie połączenia kolejowe, jak Lublin-Rozwadów-Rejowiec-Bełżec, oraz Ostrowiec-Nadbrzezie.

— Jakie były zasadnicze poza tym błędy w rosyjskiej gospodarce kolejowej?

— Polegały one przede wszystkim na tym, że mała ilość linii kolejowych nie była dostatecznie zaspokojoną w tabor. Dalszymi wadami były: nadzwyczaj rozwinięty system centralizacyjny, mała samodzielność i brak należytego przygotowania personelu technicznego.

Nieobliczone straty Królestwa Polskiego.

— Musiało to — ciągnął dalej inżynier Kociatkiewicz — wpłynąć fatalnie na rozwój naszego rolnictwa, przemysłu i handlu. W ostatnich latach doszliśmy do tego, że dwie jedyne linje magistralne, które łączyły Zagłębie Dąbrowskie z całym krajem, nie mogły wywieźć tego, co Zagłębie Dąbrowskie produkowało. A te nader trudne warunki wywozu węgla kamiennego musiały oddziaływać fatalnie na wszystkie dziedziny naszego życia gospodarczego. Jeszcze przed wojną za palące wprost zagadnienie uważano zbudowanie drogi żelaznej pomiędzy Warszawsko-Wiedeńską a tak zwaną Iwan-grodzką, któraby dała możliwość wywozu węgla do blizkich, sąsiednich dzielnic Cesarstwa, gdzie brak opału dawał się silnie odczuwać.

— Zdaje się, że rolnictwo, które jest podstawą naszego bytu gospodarczego, a które w ostatnich latach tak fenomenalnie się rozwinęło, szczególnie na tym opłakanym stanie kolejnictwa uciepieć musiało.

Jakie drogi żelazne powinny być zbudowane?

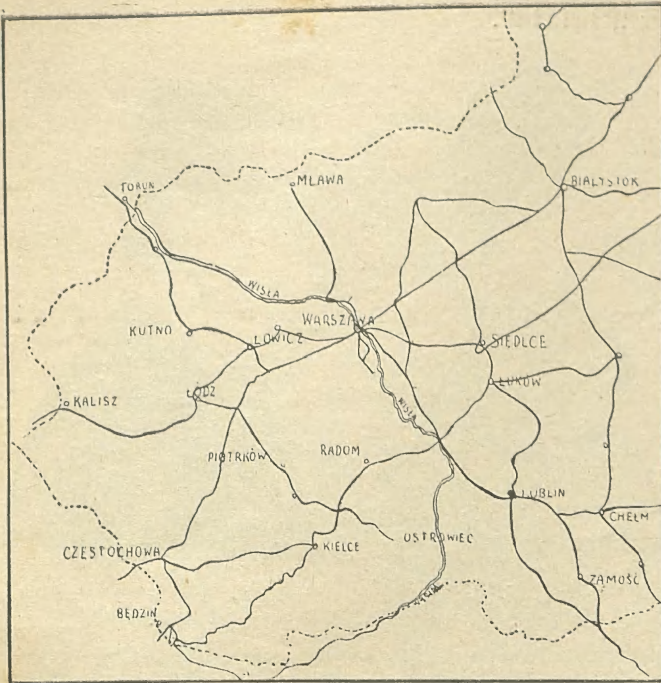
W r. 1914 odbył się zjazd przemysłu górniczego, w którym wzięli udział zarówno przedstawiciele innych gałęzi przemysłu, jak i rolnictwa i handlu.

Na zjeździe tym rozpatrywano te wszystkie projekty budowy nowych dróg, które do owej pory powstrzymywane były albo przez opieszałość albo przez tendencyjną politykę rosyjską.

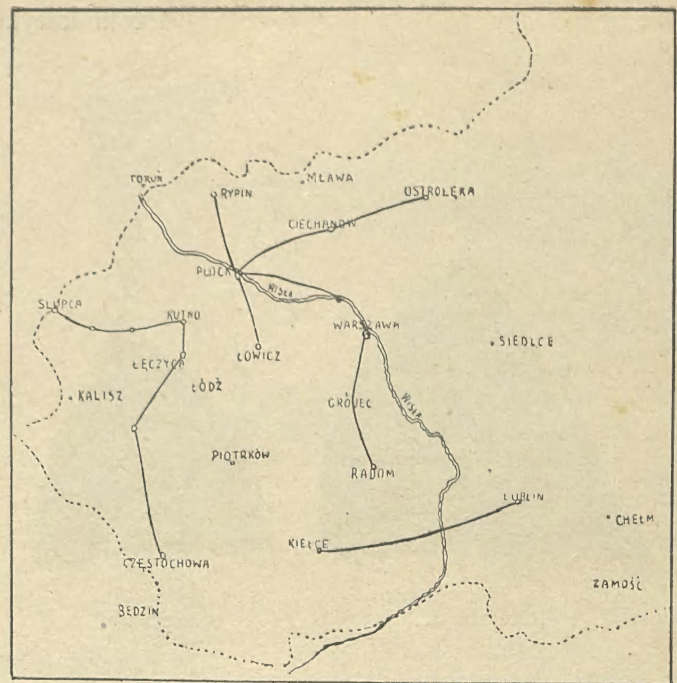
Projekty na tym zjeździe przedstawione i teraz obowiązują, jako najbliższa nasza konieczność gospodarcza.

Na moją prośbę inżynier Kociatkiewicz zrekonstruował je:

— Projekty były następujące: Przedewszystkiem linja *Warszawa-Radom*. Byłaby ona znacznym skróceniem komunikacji Warszawy z Zagłębiem, a poza tym przecinałaby kraj nową linją iszynową. Łączyłaby wreszcie dwa miasta tak ważne, jak *Warszawa i Radom*. Linja *południowa od Kielc przez Ostrowiec do Kamienicy* miała łączyć jak najkrótszą drogą Zagłębie Dąbrowskie z Zagłębiem Donieckim. Z różnym projektem wyłoniła się w jedną całość linja, wiodąca od *Częstochowy przez Zduńską Wólę, Łęczycę, Kutno, Płock, Ciechanów do Ostrołeki*, z odnogami *na Wieruszów do Łęczycy, z Kutna przez Koło i Konin do Słupcy, od Łowicza przez Płock do Rypina*. Ta linja wraz ze wszystkimi odnogami przecinałaby wiele zapadłych i dotychczas niedostępnych zakątków naszego kraju, byłaby również połączeniem ze źródłem naszego opału i trzykrotnie łączyłaby nas z zagranicą. Zaprojektowanie drogi od Zagłębia Dąbrowskiego przez Włoszczowę i Opoczno do Siedlec było wywołane tym faktem, że stanęliśmy u kresu zupełnego wyczerpania drogi Warszawsko-Wiedeńskiej. Wszystkie te projekty były podtrzymywane przez przedstawicieli wszystkich dziedzin pracy i wobec tego należy je uważać za dziś obowiązujący wyraz naszych potrzeb kolejowych. Do dałby jeszcze należało samą przez się masującą się linję od *Nowego Dworu do Płocka*, któraby była najkrótszym połączeniem ziemi płockiej z Warszawą. Trzeba też je-



Sieć kolejowa za czasów rosyjskich w Królestwie Polskiem.



Projekt nowych, niezbędnych sieci kolejowych dla Król. Polskiego.

szcze zaznaczyć, że wszędzie, gdzie egzystują drogi wodne, drogi żelazne idą równolegle do nich. Nie przeszkadza im to, a, przeciwnie, pomaga.

Olbrymie trudności.

— A jak pan sobie wyobraża przejęcie dróg żelaznych w nasze ręce?

— Samo przejęcie nie byłoby trudnym, gdyby nie to, że kolejnictwo nasze jest zdewastowane i przede wszystkim ogołocone z taboru. Wagony drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, a więc te, które nam mogły być najbardziej przydatne, zostały wywiezione przez Rosjan do Galicji i Wschodnich Prus, gdzie przepadły. Tabor szerokotorowy został ewakuowany do Rosji. Obecnie koleje nasze obsługują tabor obcy, zebrany z całego świata.

— Cóż tedy zrobimy?

— Zaopatrzenie w tabor naszych dróg żelaznych jest zagadnieniem nadzwyczaj ważnym, ale i nadzwyczaj trudnym. Mamy 3,000 wiorst kolei; odpowiedni na to tabor jest bardzo wielki.

— Czy można go kupić?

— Ależ do kogo?! Europa nie ma taboru!

— Czy nie mogłaby go wykonać jakaś fabryka?

— Któżby to mógł uczynić? Zresztą, trwałoby to wiele lat.

— Jakież tedy wyjście?

— Wyjście widzę jedynie w zaopatrzeniu naszych kolej przez sąsiadów. Jest poprostu wykluczone,

abyśmy się pod tym względem mogli obyć bez obcej pomocy.

— A jak będzie z personelem kolejowym?

— To sprawa znacznie łatwiejsza. Wszakże średni personel kolejowy był wciąż jeszcze polski. A wyższy, chociaż w kraju niewiele go było, miał za to wielu przedstawicieli w Rosji, gdzie Polacy zajmowali wybitne stanowiska i przedstawiali niepoślednie siły fachowe. Zresztą mamy w naszym przemyśle dosyć techników, którzyby mogli się do kolejnictwa przenieść.

— Jakie prace przygotowawcze prowadzą panowie w tej chwili?

— Tow. Przemysłowców utworzyło specjalny Wydział komunikacji lądowych i wodnych, który zbiera odpowiednie materiały i opracowuje kwestje z punktu widzenia interesów przemysłu. Wydział ten stoi na stanowisku, że chodzi przede wszystkim o zdanie sobie sprawy z obecnego stanu. Rozpatrywano tedy referaty o zmianach sieci kolejowej podczas wojny, o zarysach przyszłego ustawodawstwa kolejowego i wodnego. Wydział nasz zajmuje się także zbieraniem materiałów, oraz poglądów na te dezyderaty, które należy mieć na względzie przy zawieraniu przyszłych traktatów i konwencji państwowych. Nareszcie bierzemy pod uwagę opracowywanie postulatów przemysłu co do ustroju przyszłej dziedziny taryfowej. Jeszcze raz powtarzam, że na razie ścisłych, konkretnych zadań niema. Można mówić o tem, co albo przyjść musi, albo u-

jawniać potrzeby pod kątem najrozsądniejszych przypuszczeń!

— Jeszcze jedno pytanie: Czy na wojnie nasza sieć kolejowa coś zarobiła?

— Nie sądzę. Pobudowane zostały wprawdzie nowe linje. Ale, primo, ich wartość strategiczną nie zawsze odpowiada wartości gospodarczej. Następnie nieznaną jest ich wytrzymałość i solidność budowy. To, co się podczas wojny buduje, nie zawsze może być trwałe. A zresztą zostaje sprawa wywłaszczenia gruntu. Czy są zapłacone, nie wiadomo. Gdyby te linje prowizoryczne, wojenne miały być przez nas przejęte, mogłyby się nastroczyć niepokonane trudności.

Na zakończenie poproszę o kilka cyfr porównawczych różnych dzielnic Polski, bo cyfry bywają zawsze i przykładem i argumentem najwymowniejszym.

Pan Kociatkiewicz szukał chwilę w papierach i wreszcie odparł, kończąc naszą interesującą rozmowę:

— Galicja na 78,500 kil. kw. ma 4,000 kilometrów dróg żelaznych, Księstwo Poznańskie na 2,765 kil. kw. obszaru dróg żelaznych 28,900, Królestwo Polskie zaś ma kolej na 127,800 kil. kw. tylko 3,000 kil. Czyli na 1,000 kil. kw. w Królestwie Polskiem przypada 26,8 kil., w Galicji 52,7, w Księstwie Poznańskiem 95,4.

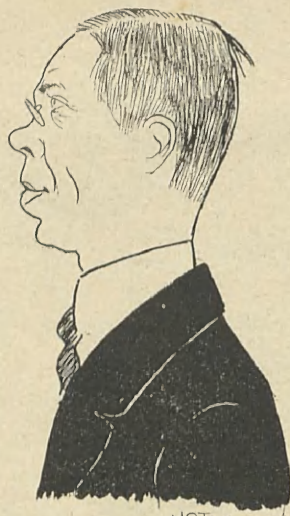
Cyfry te mówią same za siebie!

Dees.





Kotarbiński.



Bednarczyk.



Owerło.



Zalewski.

KARYKATURA BEZ ZŁOŚLIWOŚCI.

DZIAŁALNOŚĆ ARTYSTYCZNA J. SZWEJCERA.

P. Jerzy Szwejcera, młody i utalentowany karykaturzysta warszawski, zbiegiem okoliczności wojennych znalazł się w Brukseli. Nie stracił jednak animuszu. Nie przerwał swoich studiów artystycznych nad tropieniem zwierzęcia ludzkiego.

Ledwie zdołała przewalić się zawirucha ofensywy niemieckiej przez Belgię, chwyta za ołówek i węgiel, by tu, na obcym sobie gruncie, rozpocząć pracę. I w krótkim czasie umie przekonać do siebie środowisko belgijskie. Wygłasza publiczne konferencje o „krytyce teatralnej, ze specjalnym uwzględnieniem stosunków teatralnych, panujących w Warszawie“. Konferencja ta zainteresowuje ludzi pióra i teatru. Wygłasza odczyt o karykaturze, staje się współpracownikiem wychodzących w Brukseli pism francuskich.

Czyż nie może zniewolić tego rodzaju energia? Gdy tysiące rąk spoczywają beczynnie, znajduje się człowiek, który umie w środowisku obcym zyskać dla siebie placówkę pracy.



Solski.

P. Jerzy Szwejcera otworzył sobie w Brukseli pracownię artystyczną, w której przeważnie robi karykatury na zamówienie. Pisze do „Messenger de Bruxelles“ cały szereg ilustrowanych przez siebie artykułów, nawet pisma kobiece zasiała swoim piórem i ołówkiem. W „Evenement Illustré“ Nr. 68 znajdujemy całą kolumnę karykatur, podpisaną jego pseudonimem „Jotes“.

Jest to zbiór karykatur teatralnych gwiazd brukselskich, jak Bruneaux z teatru Mollera, Ambreville z „Palais de glace“, Charlier z „Folier Bergeres“, Meder z „Gaité“. P. Szwejcera w tece swojej posiada też podobizny takich znanych osobistości ze świata literackiego, jak poeta Jan Gilkin, dramaturg Servais, Charles Desbonnets... Z racji tej doczekał się też ze strony krytyki belgijskiej przychylnych ocen. Pisali o nim pp. Jules Gibet, Paweł Ruscart.

Obecnie przyjechał na kilkotygodniowy urlop do Warszawy. I tu też nie jest beczynnym. Już przyjrzał się Warszawie wojennej i zajął się całym szeregiem karykatur. Na pierwszy ogień zainteresował się teatrem.

Dał podobizny Zarządu Zrzeszenia Teatru Rozmaitości, utrwał też popularną postać dyr. Kazimierza Zalewskiego i Ludwika Solskiego.

P. J. Szwejcera nie ma przesądów w swej pracy. Nie robi tylko profilów lub twarzy widzianych z przodu, jak to ma miejsce u wielu karykaturzystów. Chwyta charakterystyczną linię przedko, błyskawicznie i przenosi ją na papier. Każda poza jest dobra, byle oddawała charakter osobnika. Z tej racji p. Szwejcera jednych ludzi daje w profilu, innych chwyta „en-face“, innych znów utrwała w całej postaci...

Zawsze przytem dba o podobieństwo postaci, wydostaje tylko linie charakte-

rystyczne, akcentując psychologicznie różne załamania bryły. Nie znęca się złośliwie nad swoim modelem. Nie unosi go temperament w krainę drwiny, szykany czy obelgi.

Jego karykatura jest dyskretną, powściągliwą i chwilami nawet kurtuazyjną. Nie chce on za bardzo złośliwie traktować swoich modeli. Trzyma się w ramach swojej spokojnej obserwacji.

Dosyć jest spojrzeć na rysunki, wyobrażające w karykaturze dyr. J. Kotarbińskiego, p. Owerłę czy p. Bednarczyka, by się przekonać, jak dyskretnym jest w obserwacji ołówek p. J. Szwejcera... Tym zaletom swojej interpretacji zawdzięcza zapewne, że oceniono jego talent należycie na obczyźnie.

U nas zamieszczał p. Szwejcera swoje rysunki w wielu pismach humorystycznych, współpracował też dorywczo i w „Świecie“. Działalność jego podczas okupacji niemieckiej w Belgii w każdym razie zasługuje na wyróżnienie.

Złożył przecież dowody niezwykłej żywotności.

Dr. Z. M.



Urstein.



Przeprawa przez Dźwinę wojsk niemieckich podczas szturm d. 2 września 1917 r.



W zdobytej przez wojska niemieckie Rydze. Przeprawa przez most.

Tworzą je mężczyźni, ażeby niemi kusić kobiety, a następnie kpić z nich, ośmieszać próżność i kaprysy niewieście.

Kobieta, z zawodu i powołania mężczyźni, znosi to z istic anielską cierpliwością i z pełnym poświęcenia uśmiechem zwraca się do mężczyzny z — rachunkiem za nową suknię, kapelusz, pantofelki.

Tak było i tak będzie po wieki wieków.

Można narzekać na modę, oburzać się na jej dziwne wybryki, ale niepodobna nie śledzić za nią i nie niegać jej. Trzeba jej być wiernym, jak niewiernej kobiecie.



Kostjum zimowy.

Prócz drobnych wad, posiada moda wielkie zalety, a z nich najprzedniejsza jest solidarność.

Niech na całym świecie wojna, niechaj padają pociski z nieba, ziemi i morza, niechaj wre wzajemny bój, a paryżanka, wiedeńska, warszawianka w sezonie letnim czy zimowym włożą jeden i ten sam fason sukni, identyczny niemal kapelusz i na tę samą modłę skrojone palto.

Jakim sposobem dzieje się tak, jest tajemnicą mody. Ale ta konieczność jedynakowego ubierania się świadczy o pa-cyficznych dążeniach kobiety...

Jak wielki wpływ miała wojna na modę kobietą, świadczy i to, że w miarę wzrastania cen materiałów i skór modne były coraz szersze suknie, wyższe obuwie — oczywiście miało to na celu przyspieszenie końca wojny. Nie udało się — i rząd francuski wydał kilka dni temu rozporządzenie, by krawcy z Rue de la Paix na kostjумы damskie zimowe użytkowali nie więcej, niż cztery i pół

metra wełny. Tak ścięśniona moda przedstawia się dosyć zabawnie, zwłaszcza że całą oszczędność materiału zastosowano na dole. Znowu spętane nogi, jak przed wybuchem wojny (czy nie jest to prognostykiem końca wojny?).



Kostjum balowy.

Spętane suknie mają na celu zmniejszenie spacerów niewieścich, co by doskonale wpłynęło na nieniszczenie obuwia.

Teraz wszystko jako punkt wyjścia ma oszczędność.

Więc modne są futra: sobole, gronostaje, sznasyłe ze względu na oszczędność opalu.



Uczesanie w sezonie zimowym.

Kapelusze posiadają przynajmniej pół łokcia wysokości — a to w celu uniemożliwienia wsiadania do zamkniętych dorożek.

Buciki nosi się sznurowane z tyłu, co daje szereg optycznych złudzeń, a także podwaja trud koło własnej toalety.

Jednym słowem, nigdy chyba moda nie była tak wykwinną, przemyślaną i pożyteczną, jak w sezonie obecnym.

H. Jel.



Teatry warszawskie.

TEATR LETNI. „Złoty magnes“, satyra w 3-ach aktach Dzema Montgomery, przekład Niny Niovili.

Sztuka amerykańska zatem, spolszczona przez Włoszkę! Już w samym afiszu, obficie ilustrowanym portretami nowych gwiazd naszej farsy, tkwi pierwiastek satyryczny. W treści utworu objawia się on dość ustalonym motywem, że pieniądz boi się „golego“, ciągnie magnetycznie do pieniędzy. Młody aferzysta amerykański (p. Grabowski) jest w przededniu ruiny. Nikt nie chce mu pożyczyć dolara. Niech pokaże jednak zwitek banknotów, wnet sypią się do jego portfela czeki chciwych grosza ziomek. „Gwoździem“ sztuki jest pytanie: czy te banknoty są prawdziwe czy fałszywe? Jackson Ives (p. Pawłowski), który ratuje Bairda, fałszerz pieniędzy, ale fałszerz nie byle jaki, artysta tego kunsztu, nie zaspakaja pod tym względem ciekawości ani detektywów amerykańskich — na scenie, ani publiczności — na widowni. Jest to, jak mówi w słowie końcowym, „jego tajemnica“.

Ta „tajemnica“ jest zresztą dobrym „kawałem“ scenicznym, który pozwala utrzymać w pewnym napięciu uwagę publiczności. Zaś gdyby tej tajemnicy nie było, satyra amerykańska byłaby panegirkiem na cześć zręcznych, artystycznych fabrykantów fałszywych banknotów, ostrem ironizowaniem głupoty policji. Albowiem w walce sprawiedliwości z występkiem, West (p. Trapszo), agent policji tajnej, zostaje pobity na głowę. Ta porażka policji tak zachęcająco oddziaływała na jednego z widzów, że, licząc widocznie na równą bezkarność w Warszawie, ukradł piszącemu te słowa przy wyjściu z teatru pugilares z kilkuset markami i... biletami wolnego wejścia do wszystkich teatrów.

Był jednak tyle delikatny, że w parę godzin później podrzucił ukradziony portfel z ową teatralną *Passe-partout*, — lecz oczywiście bez pieniędzy, — pod bramą redakcji. Uważał zapewne, że gdy posiada „w rękę“ tak zyskowny proceder, — nie wypada mu chodzić za darmo do teatru...

S. K.



Cesarz rosyjski Mikołaj II-gi pod eskortą na nowym swoim mieszkaniu w Syberji.



Walka na ulicach Kronsztadtu: maksymaliści i zwolennicy Kornilowa zwalczają się wzajemnie.

TEATR MAŁY. „Igraszki pani gubernatorowej”. Sztuka w 3 aktach R. Straussa i Z. Jekelsowej.

Pani gubernatorowa jest osobą tak przeżartą przez flirt, snobizm i inne tego rodzaju grzechy klas posiadających, że nie odczuwa wcale rzeczy najprostszych. Mąż jej został zamordowany przez rewolucjonistę. Ona idzie do więzienia i tu urządza sobie scenę z tym domniemanym a może prawdziwym mordercą.

Jegomość ten zaimponował jej, więc zaczyna się nim interesować, gotowa nawet też uciąć z nim flirt. Rzecz to mocno oryginalna. Bo jeżeli nawet nie kochała swego małżonka, to jednak prawa śmierci powinny ją zatrzymać w jej... igraszkach.

Wiedeńska spółka autorów nie liczy się z tego rodzaju trudnościami. Pokazuje nawet, jak pani generalowa robi się rewolucjonistką. Powtarza ona, zahipnotyzowana przez spotkanie zabójcy męża: Oto człowiek idei, który mnie wybawił z domu mojej nicości.

Jest przejęta nową swoją rolą tak bardzo, że oddaje usługi partji rewolucyjnej. Zjawia się nawet delegacji z rozkazem, by wywiozła na spacer p. Aleksiejskiego, gdyż partja chce i jego ukarać za rozruchy agrarne. Zamach ten ona sama chce wykonać, gdyż posadzono ją przypadkiem o małoduszność.

Czy ona ten zamach wykona? P. Aleksiejskij nie lęka się o to. Gdy pani gu-



M. Przybyłko-Potocka

bernatorowa wyceluje w niego lufę rewolweru — nadstawi piens. I... jako sędzia za ten nieudany zamach — powiezie panią gubernatorową na zesłanie do... Monte Carlo.

Akt ten jest zabawny i stanowczo najlepszy w tej wiedeńskiej sztuce. Artyści grają doskonale. Pani Przybyłko, jako gubernatorowa, świetnie umie igrać z życiem i śmiercią. P. Kindler, jako Aleksiejski, wywiązał się z zadania też bardzo dobrze. Sztukę reżyserował p. Borowski. Wystawa staranna.

E. C.

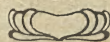
Sezon Filharmonji Warszawskiej

Znany i ceniony kapelmistrz, p. Zdzisław Birnbaum, został powołany do służby czynnej w armji austriackiej. Wskutek słabego zdrowia pozwolono mu na chwili-



Dyr. Zdzisław Birnbaum.

lowy wypoczynek. Dyr. Birnbaum staje jednak do pracy kapelmistrzowskiej. Otworzył sezon koncertów symfonicznych dnia 28 września siódmą symfonią Bethowena. Koncertował też w ten wieczór świetny pianista, prof. Z. Drzewiecki...



Pięćdziesięciolecie pracy w drukarstwie.

Jubileusz 50-cio letni uczeiwej twardej pracy na niwie drukarskiej obchodzić będzie w pełni sił duchowych i fizycznych dnia 2 października

właściciela drukarni i księgarni w Koninie, p. E. P. Michel (Ernest Paweł).

Po latach nauki zawodowej, którą odbył w nieistniejącym już zakładzie Hindemita w Kaliszu, sprowadził się Jubilat do Konina. Tutaj założył, u

porawszy się z różnemi trudnościami, drukarnię i księgarnię, którą zdołał sumiennieścią i punktualnością podnieść do znacznych rozmiarów.

Miasto Konin zawdzięcza praktycznemu Jego zmysłowi powstanie pożytecznych urządzeń publicznych, a w czasie przechodu wojsk taktem i bystrością umyśli uchronił miasto od dolegliwości.



Zaślubiny.



Halina Roszkowska.



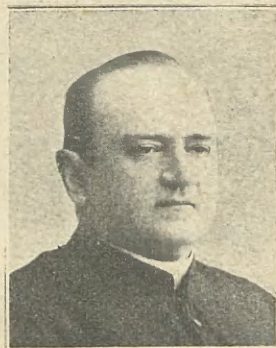
Janusz Łempicki.

Dnia 1 października w kościele pp. Kanoniczek pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Haliną Roszkowską, córką Ludwika, obywatela m. Warszawy i właściciela ziemskiego, a panem Januszem Łempickim, właścicielem Siedlisk pod Przemysłem, synem ś. p. Józefa i Eleonory z Dembowskich, właścicielki Melużyna w Płockiem.

Młodej parze przesyłamy ua nową drogę życia życzenia: „Szczęść Boże.”

Ś. p. Ks. Michał Siewruk,

poboszcz parafji św. Augustyna w Warszawie, pozostawił zapisy na rzecz instytucji filantropijnych. Zmarł dn. 14-go września, przeżywszy lat 57.



W numerze 38 pisma naszego został zamieszczony artykuł pod tyt.: „Falszywe firmy”. Na prośbę osoby zainteresowanej oświadczamy niniejszem, iż fakt, opisany w artykule tym, a odnoszący się do obrazów Axentowicza, nie dotyczy Salonu sztuki p. Abe Gutnajera.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał IV-ty r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.
Administracja „ŚWIATA”.



Jung Strom 1/2 Watowe

dają dzienne ześrodkowane światło przy dużej oszczędności prądu

S. Celichowski

Szkółki drzew owocowych i parkowych w Podębju pod Skierniewicami

Plany i zakładanie parków i sadów

Adres dla listów Skierniewice (Skrzynka pocztowa)
lub **Warszawa, Nowogrodzka № 60.**

10388

Słownik Handlowy

W PIĘCIU JEZYKACH

(polski, angielski, francuski, niemiecki, rosyjski)

w opracowaniu TADEUSZA SZULBORSKIEGO

Cena w opr. Mk. 13.75.

15044

Nakład Tow. Akc. S. ORGELBRANDA S-ów w Warszawie

WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK

Wspaniałe wydawnictwo, dające dokładny obraz stosunków rodu ludzkiego do wszechświata i sił jego, oparty na historii walk bezustannych człowieka z przemożnemi potęgami przyrody, począwszy od pierwszych śladów, jakie pozostawił w czasach przedhistorycznych, aż do czasów obecnych.

Z licznemi rysunkami i tablicami barwnymi.

Cena za 5 tomów brosz.

Mk. 125.—.

15031

”

”

w ozdobl. opr. „ 137.75.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 6 października 1917 roku.

Nr 40.

Z dziejów rosyjskiej sprawiedliwości.

Nowe dokumenty do 1863 r.

P. Henryk Cederbaum trafił na złotą żyłę dokumentów do powstania: wśród papierów archiwum namiestnikowskiego, bardzo pilnie ograbionego przy ewakuacji ze wszystkiego, co by polityczny charakter mieć mogło, zapomniano jednakże wywieść czterech obszernych tomów, zawierających wyroki polowego audytorjatu z lat od 1863 do 1866. Zabrano wprawdzie protokoły śledcze do nich, minuty wyroków i decyzji, ale to, co pozostało, posiada jeszcze dla historyka pierwszorzędne znaczenie, tem większe, że dotychczas w ręce badaczy naszych dostały się dokumenty o powstaniu skape i nader ułamkowe. P. Cederbaum opracował ten cały materiał i wydał go drukiem w naukowy sposób, dla czytelnika zwykłego dodając w bardzo wielu miejscach objaśnienia, czerpane ze źródłowych ksiąg o powstaniu. Dostaliśmy w ten sposób około pięciuset dokumentów sądowych, dotyczących około dwu tysięcy pięciuset osób. Jeżeli dodamy, że i wśród tych spraw są takie, jak Rządu Narodowego Traugutta, Trybunału Rewolucyjnego, Drukarni Narodowej, Wydziału prasowego, wywłaszczenia skarbu rządu gubernialnego, sprawy Waszkowskiego, Pełłowskiego, Bogusławskiego, Henryka Krajewskiego, prof. Dybrowskiego, prof. Dybka, i tak wysokich urzędników, jak Bagniewski, główny dyrektor komisji skarbu, zrozumieć przyjdzie łatwo, ile światła wydawnictwo p. Cederbauma rzuca w ciemnię historyczną lat ofiarnych i z jaką skwapliwością nasi historycy czytać je będą.

We wstępie autorskim znajdziemy krótkie uwagi, między niemi zaś i parę informacji o charakterze owego sądownictwa, które wysyłało naszych bohaterskich ojców na szubienice, do katorgi i na zesłanie. Chciałoby się więcej o tem informacji i gruntowniejszych. Ciekawy szczegół podaje autor, iż oskarżeni sądzeni byli na podstawie prawa rosyjskiego, które u nas nie było wprowadzone i którego u nas nie znano. Jednak to wymaga osobnego studjum. Znaczenia rzeczywistego mieć to dla ofiar nie mogło, ponieważ właściwie los ich zależał w zupełności od namiestnika, od Benga, który tak samo nieraz zwracał uwagę na wydany przez sąd polowy wyrok, jak ten sąd zwykle nie liczył się z opinią komisji śledczej, której przewodził słynny Tuhołka.

Co się tyczy konfiskat, które dołączano do kar, to zdaje się, iż tę sprawę można sobie już dziś wyjaśnić. Nie możemy sprawdzić, czy w prawie karnem rosyjskiem, opracowanym przez Hubego w 1845 r., istnieje konfiskata; ale wiadomo, że do prawa karnego dla Królestwa, osobno opracowanego przez tegoż Hubego, konfiskata, obca naszym obyczajom, została wprowadzona. Za to głównie Hubego nasi prawnicy darzyli niechęcią a nawet pogardą, a Wielopolski nie chciał wypożytkować tej pierwszorzędnej siły. Jednak ten bojkot w małym pewno jest usprawiedliwiony stopniu, bo Hube, jak zapewnia, był wykonawcą wyż-

szych wskazówek, a za nadmierną surowość kodeksu winić należy głównie Sperańskiego.

Komisja ad hoc, o której p. Cederbaum mówi, zapewne tylko dla winnych kar poprawczych zaopiniowała możliwość stosowania konfiskaty, dla ciężej winnych stosować się mogącej już dzięki brzmieniu kodeksu. Było to dowolnością, dzikością i nielegalnością. Wstrzymanie przeto rozkazem carskim takiej praktyki nie było żadną reformą, ale tylko nawrotem do tego, co wówczas było w istocie legalnem.

Wprawdzie na ironię wygląda słowo „legalność“ tam, gdzie satrapa otrzymuje takie pełnomocnictwa, które pozwalają mu robić, co mu się podoba. Takie dowolności są właśnie prawem jakby zasadniczem w Rosji, co ilustruje nowa praca p. Gawrońskiego, podająca ogromną listę majątków kresowych, które nie skonfiskowano, — o, nie! — tylko nakazano je wyprzedać w ciągu dwóch lat komukolwiek, byle nie Polakom. I dziesięcina buraczanej ziemi szła wtedy nieraz po — dziesięć rubli...

Do organizacji Rządu Narodowego nowe materiały dodają wiele nader cennych przyczynków. Oto, że przytoczymy dla przykładu, wyjaśnienie roli, jaką odegrał inż. Marczewski na początku powstania. Wogóle cały okres, od chwili, gdy Rząd Narodowy wyjechał 21 stycznia 1863 do Płocka, aby tam, skoro tylko to miasto zostanie zdobyte przez powstańców, ogłosić się i ujawnić, aż do ukonstytuowania się na nowo władzy centralnej narodowej w marcu, po przyjeździe z Paryża hasła: „dur-rer!“, jest najciemniejszym momentem historii powstaniowej. Wszystko

leży w rękę Bobrowskiego, naczelnika miasta, który wkrótce ginie od polskiej kul w romantycznym pojedynku. Marczewski był referentem przy nim. W polskich źródłach przedstawiony jest on, jako członek Narodowego Komitetu Centralnego, a więc na znacznie wyższym stanowisku. Ale pytanie, czy można rosyjskiemu dokumentowi wierzyć? Marczewski wprawdzie począł zeznania, „gdy mu wskazano artykuł prawa, z którego przekonał się, że szczerze przyznanie zmniejsza karę i z uwagi, że, jak mówi, sprawa nie odbędzie się publicznie“. Jednak mógł on i wtedy obniżyć swą rzeczywistą rolę w powstaniu, aby obniżyć i karę. To jednak, co o innych mówił, jako nie interesowne, może być przyjęte za prawdziwe, zwłaszcza gdy przez inne źródła jest potwierdzone. O tem np., że Marczewski był przeciwny wybuchowi powstania, wiemy od Janowskiego.

Książka p. Cederbauma przynosi i ustala pewien fakt, który należy podkreślić. Oto, że, jak to przyznają rosyjscy sędziowie polowi, t. zw. Trybunał Rewolucyjny, utworzony przez drugi Rząd Narodowy, „zielono-świątkowy“, *nie wydał ani jednego wyroku śmierci*.

Zabawę we francuskie jakobiństwo prowadził u nas, jak wiadomo, Piotr Kobyłański, nie młodzik żaden, ale obrońca przy senacie. On to wydał dekret o trybunałach rewolucyjnych, które „w myśl danych przez niego instrukcji decydować miały o zabójstwach politycznych“.

W motywach wyroku na Kobyłańskiego, któremu darowano karę śmierci i zamieniono ją na piętnaście lat ciężkich robót, czytamy:

„Chociaż nie stwierdzono, ażeby trybunał rewolucyjny wydał jakibądź wyrok śmierci, to jednakże samo przywłaszczenie sobie takiego prawa nadawało trybunałowi powagę w oczach ludności i pokrywając przemoc pozorami legalności, przyczyniało się do rozwoju wrzenia rewolucyjnego i terroru. Utworzenie takiej instytucji uważać więc należy za jedną z najważniejszych zbrodni politycznych“.

Nowe dokumenty dorzucają niejedno do polskiego sądownictwa powstaniowego. Ale nie malują go, choć są stronne i nienawistne, bynajmniej, jako władzy drapieżnej i uciążliwej. Proces Grabowskiego Klemensa odsłania nam, że istniał w tem sądownictwie urząd sędziego dyscyplinarnego. Taki sędzia miał prawo nakładania kar pieniężnych do 500

rb. za nieposłuszeństwo okazane powstańczym władzom. Grabowski łączył zresztą urząd sędziego dyscyplinarnego z rzędem sędziego okręgowego (powstaniowego również). W sądzie polowym przyznał się, że wydał trzy wyroki; najśrożej ukarał obywatela Jabłkowskiego za to, że dostarczył do obozu konia kulawego; obywatel Kicman skazany został na 50 rb. kary za to, że użył do własnej roboty konia, którego mu zostawili powstańcy do wyleczenia. Skaranie jednak kar nie zapłacili, bo — „służyło im jeszcze prawo zaapelowania od wyroku“. Grabowskiego skazano na dziesięć lat ciężkich robót.

Polska łagodność i rosyjska dzikość są tu, w dokumencie urzędowym, zestawione jako dwa kontrastujące się temperamenty narodowe.

Ta dzikość szczególnież znamienne występuje w wyroku na Juliana Kurtza, właściciela Wielkiego Dąbego, którego wszystkie na świecie sądy, bodajby i diabelskie (jak to raz podobno w trybunale lubelskim się spraktykowało) zupełnie uniewinniły.

Człowiek ten, towiańczyk z przekonania, gdzie może, a w Towarzystwie Rolniczem majgłośnie i publicznie, protestuje przeciwko powstaniu. Wskutek donosu robją u niego rewizję i znajdują dokument wielkiej wagi: tajny memoriał do francuskiego ministra spraw zewnętrznych.

Alfred Konar.

KARYE RY.

48

Przypominała sobie swoje powodzenie z przed kilku lat na korsie kwiatowem, na wyścigach, balach i w loży teatru. I czuła, jak apatycznie dziś koło jej sklepu przechodzą tłumy, porozumiewając się najwyraźniej:

— Patrz! Księżna! Nie jest już tak piękną, jak dawniej, prawda? A jaka wymalowana! — I uśmiech jej jakj nieszczery!

— Faktycznie nieładnie dziś wygląda.

— Cóż chcesz! Latka! Wszystko ma swój koniec.

Księżna buntowała się przeciwko temu niesprawiedliwemu wyrokowi tłumów. Anj przez myśl nie prze-

I cóż jest w tym memoriale?

„Przekonany głęboko, — pisze Kurtz, — że tylko w zaniechaniu demonstracji, w zespoleniu się wszystkich stanów“...

Jest to memoriał przeciw powstaniu.

Znaleziono jeszcze u niego i — strychninę.

Hörrendum!

Ale służba pod przysięgą twierdzi, że smarowano nią przynętę na wilki, które częstą robiły szkodę.

Ponieważ majątek Kurtza leżał przy szosie, więc odwiedzały go oddziały powstańcze. Kurtz nie zaprzecza, że dawał im furaz i żywność. Ale gdyby ich nie dał był, siłą by wzięli.

Jednak skazano tego człowieka na zesłanie.

Podobnie dzięki wymiar sprawiedliwości spotykamy na każdym kroku w ciągu dokumentów, wydanych przez p. Cederbauma. Jeszcze jeden przykład z wielu, na zakończenie:

Stanisława hr. Zamoyckiego na osiem lat ciężkich robót za szereg przestępstw, z których na pierwszym miejscu postawiono następujące:

„Będąc podczas zamachu (na Berga) w ogrodzie (Saskim) i widząc, jak sam zeznał, uciekających przez ogród sprawców, nie dał polecenia dwóm służącym, którzy byli na miejscu, żeby puścili się w pogoń za złoczyńcami i ujęli ich. Hr. Zamoycki tłumaczył się dość naiwnie, że myśl taką nie przyszła mu nawet do głowy“.

Ad. Wierzynek.

POWIEŚĆ.

szło jej, aby czas faktycznie mógł zaważyć na jej urodzie, co do której nie miała wątpliwości ani na sekundę.

Wiedziała, że wygląda dziś wyjątkowo mniej korzystnie; lecz czyniła za to odpowiedzialnym jedynie Douceta, fryzjera i nieudany dzisiejszy kapelusz od Paquina; zresztą jest nie w humorze, jest zła...

— A to urody nie dodaje!

A jeżeli nawet jest już teraz mniej w Warszawie popularną, mniej modną, a towarzysko z obiegu nieco wycofaną — to któż temu winien, jeżeli nie on, ten człowiek, dla którego złożyła w ofierze wszystko? Bo ludzie zapewne nieraz spotykały ją wieczerem, zawieszoną u jego ramienia, jak szwaczkę!

— Tak, tak. Położyłam, wszystko na jedną kartę; poświęciłam wszystko dla niego...

— A on jeździ sobie teraz najspokojniej za swemi wizytami! Nie poświęciłby dla mnie jednego włoska ze swej wypomadowanej czupryny! Tembardziej stanowiska statecznego lekarza, szanowanego członka społeczeństwa!

Księżna wyglądała faktycznie dziś wyjątkowo nieładnie: choć wogóle po czterdziestce, tej ospie pięknych kobiet — zaczęła trochę się już zmieniać.

Pozostała jej wiecznie też sama mała kształtna główka, profil kamei, słicznie wykrojone usta i harmonija proporcji, w każdym ruchu, w każdym calu.

Lecz ciało jej zmiękło odrobinkę, i podbródek opuścił się, przez co twarz straciła swój dawny owal; a oczy nieco zmęczone trochę wyblakły. Najniepotrzebniej też cynamomowe włosy na jasne złoto utleniła.

Lecz, jak stary znakomity śpiewak, znający swoje pozostałe tony, umiała niemi jeszcze szafować aż do zachwyty.

Dziś wyjątkowo nie była przy głosie, bo była zła i miała na czole marsa, z którym jedynie młodym do twarzy.

Lecz pozostały jej z dawnego repertuaru wypróbowane, nigdy nie zawodzące przechylenia główki, ruch białych rączek, uprzejmość i takt dobrej szkoły królowej, któremi potrafiła szafować hojnie z automatyczną rutyną.

Towarzyszył jej prezes dzisiejszego kiermaszu, ordynat, bardzo dystyngowany starzec z pięknie uczesanemi siwemi włosami, z gardenią w butonierce.

Srebrna taca na stole — naładowana była banknotami i złotem, których znaczną część ze zwykłą hojnością sama księżna złożyła.

Od czasu do czasu odwiedzały jej sklep w liczbie znacznie mniejszej, niż przewidywała — różne wielkie damy, które, złożywszy pewną kwotę na jej tacy, bawiły przez kilka chwil, zamieniając owe charakterystyczne wielkoświatowe słowa i uśmiechy, nie mające literalnie żadnego znaczenia.

Wreszcie księżna oświadczyła panu komitetowemu z gwiazdką, że czuje się już zmęczoną; że jemu więc pozostawia trud obliczenia kasy i zwrócenia niesprzedanego towaru Towarzystwu Dobroczynności.

Pan z komitetu dziękował księżnej panję w imieniu instytucji za trud i za hojność ofiary.

Księżna ujęła pod ramię ordyna-

ta, aby zrobić cercele po sali, aby złożyć rewizyty i poskładać banknoty na tacach tych dam, które jej sklep odwiedziły.

I z ciągłym nieszczerym uśmiechem „gwiazdy“, czującej, że nie ma powodzenia, przesuwiała się po sali — strojna, wymiślna, dystyngowana. Za nią majestatyczny służący w herbowej liberji nosił całe paki z zakupami.

Trafem nagle dojrzała sklep pani Zosi. Sądziła, że znajdował się w drugiej sali. Trudno było ominąć, ponieważ widziała, że dostrzegła ją pani Polewska.

Ze sklepu, prawie już wykupionego przez otaczający go stale tłum, dochodziły wykrzyki Romka:

— Na ogólne żądanie, ostateczna wyprzedaż resztek towaru! Każdy przedmiot do wyboru po rublu!

Pani Zosia, promieniejąca, uśmiechnięta, nie mając już nic do sprzedania, rozdawała kwiaty w cenie, co łaska. Pani Polewskiej i mademoiselle padały już ręce ze znużenia.

— Właśnie wybieraliśmy się po zakupy do księżny — tłumaczyła się pani Polewska — lecz nie miałyśmy jednej chwili wolnej.

Księżna po swojemu odpowiedziała grzecznym, niemym, nic nie mówiącym uśmiechem.

— A oto dla pani biednych — złożyła pani Zosi na tacy 100 rublowy banknot.

— Dziękuję. Mam, proszę zaraz zapisać tę hojną ofiarę — spojrzała księżnej w oczy. Nie lubiła jej nigdy. Dziś wyczytała w jej oczach nienawiść.

Nie myliła się. Księżna nienawidziła tej niezapisanej kartki welinu, tej panią z dobrego domu, bez przeszłości, bez burz, piorunów i błota, którą wprost z pod swoich skrzydeł rodzice rzucili w objęcia męża, tego pięknego Horskiego. Nosj jego nazwisko, które otrzymała darmo, bez żadnych ofiar — przed całym światem — szanowana i czysta!

— A teraz paraduje jeszcze flirtem i platoniczną miłością ku temu papinkowatemu szwagierkowi!

Obrzuciła go wytrawnym spojrzeniem, na które obojętne oczy Romka odpowiedziały jej najwyraźniej:

— Przepraszam. Jestem zajęty.

— Jest pani dziś słomianą wdówką.

— Stale, jak wszystkie żony lekarzy; jak podczas niekończącej się nigdy wojny.

— Podczas dawnych wojen mężowie pozostawiali zawsze żonom opiekunów, tak zwanych wojskich.

— Prawda! Jaka ja roztargniona! — zaczerwieniła się Zosia. —

Księżna pozwoli — mówiła tym razem językiem zrozumiałym dla Romka, to jest polskim — że jej przedstawię mego szwagra.

Księżna po raz drugi raczyła mu rzucić nieme dyskretne zapewnienie:

— Tiens, tiens. Jesteś wcale, wcale przystojny; choć czuję się jeszcze zbyt młodą, aby gustować w debiutantach. Postaraj się wyrobić.

— Przepraszam, jestem zajęty — pochylił się w niemym ukłonie Romek, całując bardzo oficjalnie jej rękawiczkę.

Księżna pojęła doskonale, co oznaczają ten jego chłód wobec widoku pięknej kobiety:

— On ją kocha. A co się tyczy tej malej — to każde najgłupsze dziecko wyczytałoby z jej twarzy tajemnicę. Najgłupsze dziecko! Naturalnie, wszyscy z wyjątkiem męża. Nawet nie mam tej uciechy — cynizowała w myślach — aby moja miłość sprawiła wielki ból mojej rywalce! A ten jej mały kuzynek — skrzywiła się — to typ ideału pensjonarskiego. Oleodrukowy, bez temperamentu amancik z angielskiej ilustracji.

— „Pierwszy naiwny“ z białego repertuaru dla panienek!

I już bez książęcej dystynkcji, lecz z najpośpolitszą kobiecią złościwością rzuciła na pożegnanie:

— W dawnych epopejach mężowie spóźniają czasami swój powrót z wojaczek... z wiwandierkami; a piękne Penelopy pozostają na wiecznej opiece... wojskich. Stąd cała tragedia, a czasami farsa. Bonjour chère madame. Mes compliments pour monsieur votre mari.

— Que c'est-ce qu'elle a dit? — badała po jej odejściu pani Polewska.

Pani Zosia nic nie odrzekła. Kwiaty z rąk jej wypadły. Spojrzała halucynacyjnie w dół z uczuciem, że w tej sukundzie przeżywa bardzo wiele... Jakieś jasnovidzenie piekielnie otwierających się przed nią przepaści... Okrutne fatum ciągnie ją, a potem zagładzi... Wszystko naraz zgąsło: Jej szczęście, jej miłość, dokoła noc...

Upadła na krzesło. Romek podał jej szklanekę wody. Pani Polewska się rozgniewała:

— Mówiłam: To jest ponad twoje siły. Niema sensu przez cały dzień bez wytchnienia tak pracować. W tej chwili wracam do domu. Pan Roman odprowadzi nas do karety i powróci, aby zrobić z mademoiselle obrachunek i wręczyć komu należy. Idźcie naprzód! Dogonię was. Zapakuję jeszcze moją tacę i lichtarce.

Sunęły przez salę drogą ku wyjściu. Pani Zosia, słaniając się ze zmę-

zenia, oparta o ramię Romka, miała uczucie, że owa różowa zasłona, przez którą podziwiała cały świat dokoła — tracę swoją barwę — szarzeje... I staje się dokoła coraz ciemniej; wreszcie czarna noc, a tam co to? Krew?

— A! — krzyknęła, tuląc się z przymkniętymi oczami do ramienia Romka.

— Pani tak pobladła. Może krzesła, lub wody?

— Nie, nie. Dziękuję. To nic; już przeszło. Proszę nie mówić mamie. Rzeczywiście czuję się bardzo zmęczoną. Ale przecież ta sala już się niedługo skończy.

— Nie. Stanowczo — sprzeciwił się Romek — musi pani na tej ławeczce odpocząć. W bufecie wprawdzie już pusto; ale szklanka wody zawsze się znajdzie.

Pani Zosia, ciężko oddychając, rozgląda się dokoła; a w piersiach męczy ją jakiś straszny lęk, przecucie jakichś tragicznych wyroków, walk nie do zwyciężenia, bólów, silniejszych, niż moc dźwignia ich...

— Wszystko się skończyło. Narodziłam się po to, aby dożyć dzisiejszego dnia zenitu szczęścia, najpiękniejszych chwil, za które będzie należało zapłacić cierpieniem ekspiacji. Wszystko się skończyło... Agonia, pogrzeb, pustka... Tak; już los!

Dokoła niej fale ludzkie, jakby odpływały. Stawało się coraz puściej. Grajkowie orkiestry pakowali już instrumenty. Obwijano już trąby i klarnety w ich flanele; skrzypce chowano do puderek.

W sklepach pakowano niewyprzedane towary. Służba zdejmowała ze stołów serwety i dywany, układane w wielkie kosze; gaszono resztki świec w srebrnych lichtarzach.

Niecierpliwi tapicerzy odbijali już festony z barwnych płócien. A podłogę, ciemną od duszącego szarego kurzu — skrapiano wodą.

Zaczęto gasić lampiony chińskie i wielkie srebrzyste banie elektryczne; wszystkie barwy naraz znikły... I cała sala poszarzała, spopieliała, jak zgaszone ognisko.

— Różowa zasłona już spadła! Wszystko się skończyło — mimowoli zbyt głośno zwierzyła się pani Zosia.

— Co pani mówi, pani Zosiu? — nabrzmiałem od bólu słowami badał ją Romek, cucący ją wodą, którą przyniosł z bufetu. — Nie, nie! To byłoby okropne! — wykrzyknął z młodzieńczym buntem.

— Cóż pan chcesz? — powracała do obłudy życia ze światowym uśmiechem, zakrywającym sanctuarjum wewnętrznej tragedji, z której zwierzać się nikomu nie wolno. —

Czarowne noce japońskie nie mogą trwać wiecznie. Co innego kiermasz na Przytulisko, a co innego życie.

— Tak, tak. Kiermasz życia — poprawił ją Romek — musi obywać się bez czaru.

Odnalazła ich wreszcie pani Polewska. Romek usadawiał obie damy w karecie i z jedną nogą na stopniu pojazdu — tulił u swych warg drżącą rączkę pani Zosi dłużej, niż wypadało. Wreszcie zdjął kapelusz z głowy; zatrzasnął drzwiczki karety. Konie ruszyły.

Pani Zosia przechyliła bezsilną głowę w tył siedzenia. Przez jakąś dziwną asocjacje myśli przepłynęły przez chorego mózg jej w malignie pierwsze słowa dykteryjki Romka, który przed laty w Jędrzejowicach z jego ust słyszała.

To był ów piękny wieczór, kiedy nieznany studentik zasiadał z nimi po raz pierwszy do wspólnej wyczerzy. Stremowany wrażeniami podróży strzelił bąka w formie niewłaściwej anegdotki o wiwadjerce, która powróciła z wojny z bębniem. Młodzieniec, zaczerwieniony po białka oczu, czuł, że zrobił fiasco. Odtąd był jej blizkim.

Wolała stokroć to fiasco, niż powodzenie innych jego anegdotek. O tej jednej tylko w nocy myślała. Mało ją obchodził sens; nawet go dobrze nie rozumiała. Widziała tylko w myślach mars ciotki Benisi i zakłopotanie innych twarzy.

I żał jej było, że wyrwał się zaraz na pierwszym kroku tak niewłaściwie, i że czuł swoje niepowodzenie wśród obcych ostrych sędziów, tam w nieznanym jeszcze domu. To był początek wszystkiego...

A dziś usłyszała z ust tej pięknej kobiety, demonia, tę samą dykteryjkę o wiwadjerce. Czy to nie dziwne?

Cały ten etap życia — jakby rozpoczęty i zamknięty tym wyszłym z mody wyrazem „wiwadjerka“, wyrytym ognistymi zgłoskami z chińskich lampjonów... Objęła rękami rozpaloną głowę.

— Bredzę. Muszę mieć gorączkę.

— Jak się czujesz moje dziecko? — badała ją matka.

— Dziękuję. Już zupełnie dobrze. — Nie, nie — ciągnęła w myślach obrachunkę z sobą. — To nie gorączka, nie halucynacja... To wszystko jest faktem.

Choć z powodu dziecinnej nieśmiałości i dziwaczności wstydu nie zwierzyła się dotąd nikomu, lecz wiedziała, że zostanie matką. W swoich marzeniach widziała to dziecko z twarzą Romka, jak wyciągało rączki do stryja, jak stryj kochał swego bratanka...

Niczego więcej od życia nie oczekiwała. Przecież grzeszyć myśla — to jeszcze nie zbrodnia... Przecież w rozkosznych, niebiańskich sam na sam z nim — nie pozwoliliby sobie nigdy powiedzieć nic takiego, czego by nie można powtórzyć przed całym światem.

Przecież ich uczucie nie splamiło się żadnym błyskiem nadziei, żadnym atomem pragnienia czegoś, co się stać nie może...

Przejęci swoim szczęściem — nie wydały nawet jęku, że jest tak, a nie inaczej. Zachwyceni świętością samego istnienia tego uczucia, — uważaliby za bluźnierstwo nazwać je po imieniu, lub chcieć je, jak obłoki, lub gwiazdy zciągnąć z niebios na ziemię.

Pragnęła tylko zawistnie jednego: oto, aby nikt nie tknął się tej świętej tajemnicy, która za samą brutalnością tego dotknięcia obcej dłoni — mogłaby stracić całą swoją boskość, stając się naraz ohydą, gwiazdą, spadła w błoto!

I to właśnie stało się dziś, w tej samej chwili, kiedy różowa zasłona znikła; a wszystko zezerniało, spopieliało.

— Ta lotrzyca, którą znienawidziłam od pierwszej chwili poznania — torturowała się myślami pani Zosia — odgadła wszystko... Ona jedna! Lecz sądzi, że on jest moim kochankiem, tak, jak ci wszyscy, którzy w niej się kochali. A nienawidzi mnie — dla czego? Pastwę się nademną — dla czego? Wiem — wpadła odrazu w transie, jakby jasnowidzenia. — Bo kocha mego męża. A on od pierwszej chwili powrotu ze ślubnej podróży zdradzał mnie, okłamywał, opuszczał dla niej, swojej kochanki; podczas kiedy ja flirtowałam z innym. Cóż za pospolita wulgarna intryga godnej pary małżonków! Oboje warci pałaca a pałac — Paca!

A tamto uczucie, nieznanie nikomu, czyste z mgieł i obłoków, bez zdawania sobie z niego sprawy, promienne, jak słońce, wonne, jak kwiaty, czyste, jak skrzydła aniołów — już zginęło na zawsze! Zginęło z chwilą zdemaskowanego uświadomienia?

— A jednak ja lotrzycą taką, jak inne — nie będę. Będę żyła bez pragnień; jedynie myślą tego, co się stać mogło, a co się nie stało i nigdy nie stanie. Przysięgam!

— Jesteśmy już w domu. Jak się czujesz moje dziecko?

— Dziękuję; wszystko już się skończyło!

Dalszy ciąg nastąpi.



Sylwia albo niedelikatność.

Sylwia dzwoni o wczesnej porze do drzwi znajomych, a słysząc od służącej, że pani nie przyjmuje, śmieje się głośno i powiada, że ją to przyjmie napewno, gdyż ona za gościa się nie uważa. W ubraniu wchodzi wgląd mieszkania i znalazłszy paną domu w sypialni, rzuca jej się w objęcia, oznajmiając zaraz, że jest okropnie głodna. I za odchodzącą służącą woła, aby przyrządziła herbatę.

Zrzuciwszy płaszcz, kapelusz i rękawiczki na łóżko niezaścielone, Sylwia ofiaruje pani domu swą pomoc w układaniu bielizny, zapytując zarazem, czy wiele koszul pozostało jej jeszcze z wyprawy i które to są mianowicie. Radzi jej też, aby inny zaprowadziła porządek w szafie. Na wstążkach, związujących bieliznę, powinny zdaniem Sylwii leżeć pęczki sztucznych fijołków, a saszety mieć także zapach tych właśnie kwiatów. I obiecuje, że za następną wizytą przyniesie jej w podarunku takie fijołki i saszety.

Gdy herbata jest gotowa, Sylwia mówi, żeby służąca wzięła się do ślania łóżek, ona bowiem nie chce nikomu robić kłopotu i sama sobie posłuży. Mimo protestów gospodyni otwiera kredens i wy-

muje stamtąd wszystko, na coby miała ochotę. Chwali ser, ale co do pasztetu znajduje, że niedość tłusto jest przyrządzony. Wreszcie ma ochotę na coś słodkiego i zapytuje pani domu, gdzie trzyma konfitury, które niedawno smażyła. A, idąc z nią sama do spiżarni, prócz konfitur przynosi też stamtąd dzieżkę z miodem i świeże włoskie orzechy. Wreszcie gryząc cukierki, które znalazły się jeszcze w bombonierce w salonie, zapina długo rękawiczki i przy pożegnaniu uspakaja panią domu, że wie, jak trudno jej jest wyrwać się zpośród zajęć codziennych; więc sama w najbliższym czasie wpadnie znowu.

Sylwia bowiem nie lubi pustych form towarzyskich i wyśmiewa mieszczki, które liczą się ze sobą na wizyty.

Albin.

Albin pochodzi z rodziny obywatelskiej, wychował się na wsi pośród starych drzew sadu, pośród miłych zwierząt domowych. Ale żądza nauki wydarła go z rodzinnego gniazda i rzuciła w świat wszechnic, bibliotek i muzeów. Albin marzy o stworzeniu głębokich dzieł filozoficznych, o objęciu katedry, o wpływie na młode, nieskażone życiem umysły. Pragnienia Albina są czyste i bezinteresowne. Jeżeli nawet myśli czasami i o sławie, to o tej zasłużonej i niegłośnej,

która jest uznaniem przez jakichś paru blizkich duchem pośród pustki świata.

Ale siła umysłu jego nie może sprostać pragnieniom. W mrokach i ciszy nocej z mozołem tworzone prace nie posiadają głębi ani talentu. Młode ciało Albina, dawniej pełne siły i zdrowia, schmie i niedoleżnieje, na chudych policzkach pałą się rumieńce chore. Oczy mają wyraz posepny, a płowa grzywa zwiisa w nieladzie na czoło, zachmurzone od nieustającego wysiłku.

Nauka pożera młodość Albina, praca nie daje mu radości. Z mózgu jego myśl płynie boleśnie, jak krew z rany. Każda życiowa ponęta wydaje mu się groźna dla celów nauki i sławy. Unika kobiety, by nie odciągnęła go od przeznaczania. Wszystko z życia staje mu się tragedją i udreka.

Albin nie uznaje mimo to, aby pomylił się co do siebie. Przeciwnie, lituje się nad ludźmi, co o świtanii biegą z rąkietą w dłoni na tenisa lub z winchesterem chodzą po bagnach, by upolować jaką słomkę albo kszycę. Albin bowiem jest szczęśliwy. Cały wrogą, obłudną i płytką świat oskarża o swą porażkę, w sobie przecież znajduje niezamącone, tajemne źródło radości i dumy. I na żadne inne dobro nie zechciałby wymienić swych ukochanych mąk, udrezeń i gorczy zawodów.

Zofja Rygier-Nalkowska.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

PIGMAJON.

I.

Pożegnalny pocałunek dłuta —
I nareszcie — widzę sen wcielony!
Czarodziejka, z marzeń mych wysnuta,
Cień ostatniej odrzuca ostony.

Czarodziejka, z marmuru wykuta,
Pod jej czarem staję zachwycony...
Lecz, jak chmurka, smutku dziwna nuta
Cień ostatniej odrzuca ostony.

Cudny uśmiech krasi boskie lica,
Dni, miesiące w moich snach marzone,
I przedemną stoi cud-dziewica,

I przedemną — marzenie wcielone,
I przedemną, z oston rozpowity,
Kształt precudnej boskiej Afrodyty.

II.

W każdym złomie marmurowej bieli
Jam cię, boska, szukał bez wytchnienia,
I wiedziałem, że, jak kwiat, wystrzeli
Twój kształt miękki z twardego kamienia.

I wiedziałem, że mój sen się wcieli,
Nagradzając trudy i cierpienia.

Czemż teraz serca nie weseli
Cudny posąg bez skazy i cienia?

Wymarzoną w me bezsenne noce,
Wypieszczoną w głębinach mej duszy,
Stoisz oto w marmuru powłoce. —

Źródło szczęścia i — nowej katuszy,
Mój zachwycie, miłości wcielona,
Któż tchnie iskrę w cud boskiego tona?

III.

Mój zachwycie, miłości wcielona,
Twojej pokusie nie oprę się dłużej.
Do twych ramion tulę swe ramiona
I swe usta do ust twoich kruży.

Piersi twoich marmurowe grona...
Ich dotknięcie wpała i durzy.
Moc mną szarpie, moc nieogarniona,
Moc wiosenna, co stwarza i burzy!

Jeszcze usta, jeszcze piersi, oczy!...
Ach, w uścisku tym marmur się skruszy,
Galateo, śnie mój, śnie uroczy,

Galateo, duszo mojej duszy!
Przebóg! Ciałem twem wstrząsnęły dreszcze,
I szepł slysze: „Cauj! Pieść! Pieść jeszcze!”

W oczach Zachodu.

37

POWIEŚĆ

Był tak dalece igraszką przeszłości, że z uderzeniem północy zerwał się z krzesła i zbiegł ze schodów, jak gdyby był pewny, że siłą przeznaczenia drzwi same się otworzą przed koniecznością jego wyjścia. Jakoż, gdy znalazł się na dole, paru zapóźnionych mieszkańców domu wchodziło w drzwi: dwóch mężczyzn i kobieta. Razumow przemknął koło nich i wybiegł na ulicę. Tamci przestraszyli się bardzo. Jeden z mężczyzn chciał się puścić za nim w pogoń, ale w tej chwili właśnie błysnęło, i kobieta, poznawszy go w tem oświetleniu, rzekła:

— Daj mu pokój. To ten młody Rosjanin z trzeciego piętra.

Zagrzmiało, niby wystrzał ostrzegający o jego ucieczce z więzienia Kłamstwa i znowu zapadła ciemność.

Razumow musiał słyszeć w swoim czasie, a teraz przypomniał sobie mętnie, że tego wieczoru miało być zebranie rewolucjonistów u Juliusza Laspara. W każdym razie poszedł tam prosto i bez wahania zadzwonił do drzwi frontowych, które oczywiście były zamknięte. Deszcz lał strumieniami i błyskało nieustannie. Razumow był zupełnie spokojny i w przerwie pomiędzy grzmotami słuchał uważnie jak dzwonek dźwięczał delikatnie gdzieś w głębi domu.

Wpuszczono go nie bez pewnych trudności. Ten z gości, który poszedł otworzyć, nie znał go osobiście. Razumow wytłumaczył mu cierpliwie, że ma coś do powiedzenia zgromadzeniu na górze.

— Coś ważnego?

— To słuchacze osądzą.

— Czy to pilne?

— W najwyższym stopniu.

Tymczasem jedna z córek Laspara zeszła na dół z lampką w ręku, w pomiętej sukni, która zdawała się wisieć na niej jakimś cudem. Młoda ta osoba poznała odrazu Razumowa.

— Jak się pan ma? Oczywiście, że pan może wejść.

Poprowadziła go na górę i zostawiwszy lampę w sieni, otworzyła drzwi. Razumow wszedł za nią, zamknął drzwi i oparł się o ścianę.

Trzy pokoiki w amfiladzie, o niskich, zadymionych sufitach, oświetlone parafinowymi lampami, na-

pchane były gośćmi. Rozmawiano głośno, szklanki z herbatą pełne, niedopite i próżne zupełnie stały wszędzie, nawet na podłodze. Druga córka Laspara rozczochrana i zaspana siedziała za olbrzymim samowarem. W głębi mignął Razumowowi jakiś olbrzymi brzuch, podczas gdy Juliusz Laspara schodził pospiesznie ze swego wysokiego stołka.

Zjawienie się północnego gościa sprawiło niemiłe wrażenie. Laspara wspomina o tem, w swem bardzo zresztą zwięzłym sprawozdaniu z wypadków, jakie potem zaszły. Przywitawszy Razumowa, Laspara (z umysłu nie zwracając uwagi na jego szczególny wygląd) wspomnił coś o napisaniu artykułu. Razumow zdawał się nie słyszeć, wreszcie zaśmiał się krótko i rzekł:

— Napisałem już wszystko, co miałem do napisania.

Wszyscy zgromadzeni spoglądali ze zdumieniem i zaciekawieniem na tego nowego przybysza, który, ociekający wodą, śmiertelnie bład, stał wciąż przy ścianie, opierając się o nią plecami. Rozmowy ucichły, kobiety, mężczyźni zbiegli się z najdalejszych nawet pokoi, tłocząc się we drzwiach, wyciągali szyje w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego.

— Znam to śmiesznie zrozumiałe indywiduum — ozwał się jakiś głos z głębi.

— Jakie indywiduum? — zapytał Razumow, podnosząc głowę i patrząc prosto w te wszystkie wyteżone w niego oczy. — Jeżeli to mam być ja..

Urwał, szukając słów, w jakich mógłby złożyć swoje wyznanie i znalazł je nagle; te, a nie inne, jak gdyby podyktowane przez tę moc przeznaczeniową, która rządziła nim owego pamiętnego wieczoru.

— Przyszędłem tu — zaczął czystym, donośnym głosem — by powiedzieć coś, co się odnosi do indywiduum, zwanego Ziemianiczem. Zofja Antonowna powiadomiła mnie, że opublikuje pewien list z Petersburga...

— Zofja Antonowna była tu wczesnym wieczorem — rzekł Laspara. — To w porządku. Wszyscy tu słyszeli...

— Bardzo dobrze — przerwał Razumow z odcieniem niecierplivo-

ści, bo serce biło mu mocno. Poczem opanowawszy głos, mówił dalej znów dobitnie i spokojnie, z pewną nawet ironią:

— W poczuciu sprawiedliwości względem tego niesłusznie obwinionego chłopca Ziemianicza, oświadczam teraz uroczyście, że wnioski tego listu spotwarzają człowieka z ludu — jasną, rosyjską duszę. Ziemianicz nie ma nic wspólnego z aresztowaniem Wiktora Haldina.

Razumow wymówił to nazwisko zwolna i z naciskiem, i poczekał, aż szmer, który je przyjął, umilkł.

— Wiktor Wiktorowicz Haldin — zaczął znowu — działając niewątpliwie szlachetnie lecz nie rozważnie, schronił się do pewnego studenta, którego przekonania nie znał, i o którym w ogóle wiedział to, co mu złudzenia jego zacnego serca mówiły. Był to nader nieroztropny odruch zaufania. Ale nie jestem tu, by oceniać postępek Wiktora Haldina. Czy mam mówić o uczuciach tego studenta, zagrożonego nagle narzuceniem mu współnictwa? Czy mam powiedzieć, co uczynił? To dosyć skomplikowaną historją. W rezultacie student ów poszedł do Generała T... i powiedział: „Zabójca pana de P... Wiktor Haldin, student tak samo jak ja, znajduje się w moim pokoju, zamknięty na klucz“.

W tłumie zakotłowało się; Razumow podniósł głos:

— Proszę zauważyć, że człowiek ten miał pewne uczciwe cele na myśli. Ale nie przyszedłem też tu, aby go tłumaczyć!

— Nie! Ale musisz wytłumaczyć, z kąd to wiesz — rzekł ktoś poważnie.

— Podły tchórz! — zakrzyczano z oburzeniem. — Nazwij go!

— Po co te wrzaski? — ozwał się Razumow pogardliwie w głębokim milczeniu, które zapadło, gdy podniósł rękę na znak, że chce mówić. — Czyż nie odgadliście, że to ja nim jestem?

Laspara, który stał przy Razumowie, odstąpił szybko i wdrapał się na swój wysoki stołek. W pierwszej chwili tłum zakotłował się w stronę Razumowa, jakby go chciał rozetrwać na sztuki, ale cofnięto się wnet i tylko gwar podniósł się jeszcze większy.

W gwarze tym Razumow różnił powtórzone kilkakrotnie nazwisko Piotra Iwanowicza, wyraz „sąd“, i zdania: „Ależ on się przyznaje dobrowolnie“. Po pewnej chwili jakiś młodzieniec zbliżył się do niego z pałającymi oczyma.

Przygody Beniowskiego.

Ocean.

— Jestem zmuszony prosić pana — rzekł ze zjadliwą uprzejmością — byś raczył nie ruszać się z miejsca, dopóki ci nie powiedzą, gdzie masz iść.

Razumow wzruszył ramionami.

— Przeszedłem dobrowolnie.

— Być może. Ale nie wyjdiesz, aż ci pozwolą — odparł tamten.

Skinął ręką, wołając:

— Ludwiko! Ludwiko! pójdź tu, proszę — i na te słowa jedna z córek Laspary (które wpatrywały się w Razumowa z poza samowara) zbliżyła się, ciągnąc za sobą krzesło, zastawiła nim drzwi i usiadła, zakładając nogę na nogę. Młodzieniec podziękował jej z wylaniem i wmięszal się w gromadkę, rozprawiającą po cichu z wielkiem ożywieniem.

— Czyś się przyznał, czy nie przyznał! — wrzasnął jakiś piskliwy głos — jesteś policyjnym szpiegiem!

Rewolucjonista Nikita przecisnął się przez tłum i stanął przed Razumowem ze swym opasłym brzuchem, szeroką, siną twarzą i ogromnemi rękoma. Razumow popatrzał na słynnego mordercę żandarmów z milejącą odrazą.

— A ty, czym jesteś? — rzekł bardzo cicho, poczem zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

— Lepiej będzie dla ciebie odejść teraz — wyrzekł jakiś łagodny, smutny głos.

Razumow otworzył oczy. Mówiący był mężczyzną w podeszłym wieku, o bujnych włosach, tworzących srebrzystą aureolę dookoła jego inteligentnej twarzy.

— Piotr Iwanowicz będzie powiadomiony o twojem wyznaniu i dadzą ci znać..

Poczem zwracając się do stojącego przy nim Nikity, przezwanego Necatorem, dodał szeptem:

— Bo cóż innego nam pozostaje? Po takim dowodzie szczerości nie może już być niebezpiecznym.

Tamten odszepnął:

— Lepiej upewnić się o tem, nim go puścimy. Zostawcie to mnie. Umiem sobie radzić z takim jegościem.

Zamienił porozumiewawcze spojrzenia z paroma z obecnych, którzy zlekka skinęli głową i zwracając się do Razumowa, rzekł szorstko:

— Słyszaleś? Nie jesteś już potrzebny. Ruszaj!

Siedząca na straży córka Laspary wstała i obojętnie usunęła krzesło z drogi. Razumow rozejrzał się dookoła i wyszedł z wolna, jakby uderzony nagłą myślą.

— Proszę zauważyć — rzekł już w sieni — że odemnie zależało milczeć. Dziś właśnie stanąłem na

zupelnie pewnym gruncie pośród was i dziś uwalniam się od kłamstwa, od wyrzutów sumienia i żadna ludzka istota niema nademną władzy na tym świecie.

Odwrocił się i poszedł ku schodom, ale usłyszawszy gwałtowne tnaśnieńcie drzwiami za sobą, spojrzal przez ramię i zobaczył, że Nikita i trzech jeszcze mężczyzn idą za nim.

— A jednak zabijaj mnie — pomyślał.

Zanim zdążył odwrócić się, tamci rzucili się na niego i przyparli go do muru.

— Ciekawym jak — pomyślał jeszcze.

— Uczynimy cię nieszkodliwym — wrzasnął mu Nikita w samą twarz, roześmiewszy się szatańsko — poczekaj chwilę.

Razumow nie stawiał oporu. Trzej mężczyźni trzymali go przypartego do ściany, podczas gdy Nikita, stanawszy nieco z boku, podniósł w górę swą olbrzymią łapę o twartą, nieuzbrojoną i wymierzył Razumowowi potężny cios nad uchem. Razumow usłyszał głuchy odgłos, jak gdyby kto strzelił z pistoletu, po drugiej stronie ściany. Wściekłość zawrzała w nim na tę zniewagę.

Goście Laspary z zapartymi oddechami słuchali szamotania się czterech mężczyzn w sieni i wspólnego ich upadku ze schodów. Razumow zziąłymi, bez tchu, przygnięciony ciężarem napastników, ujrzał potwornego Nikitę tuż nad swoją głową, podczas, gdy tamci trzymali go za nogi i za gardło.

— Obróćcie go twarzą na bok — rozkazał brzuchaty terrorysta swym skrzekliwym głosem.

Razumow nie mógł już walczyć. Wyczerpany, patrzył biernie, jak ciężka, otwarta dłoń niegodziwca spadła mu znów poniżającym ciosem na drugie ucho. Doznał takiego wrażenia, jak gdyby głowa rozpadała mu się na dwoje i nagle trzymająca go mężczyźni zamilkli jak cienie. W milczeniu dźwignęli go z ziemi i otwarli drzwi, wypchnęli na ulicę.

Dalszy ciąg nastąpi.



W roku zeszłym pozostawił nas W. Sieroszewski pod wrażeniem zupełnego zwycięstwa, jakie osiągnął bohater jego na Kameczatce, imć pan Maurycy August Beniowski. Udało mu się zorganizować spisek, chwycić władze w swoje ręce i zdobyć okręt „Piotr i Paweł“.

Rozplómił też Beniowski serce panny Nastazji, córki gubernatora Kameczatki. Wyśpiewał na strunach jej uczuć przepiękny, delikatny hymn miłości, wplątał ją w dzieło o swobodzenia z pęt przemocy Katarzyny, smutnej pamięci aliantki naszej.

Dzieje awanturniczego żywota Beniowskiego zamierzył Sieroszewski snuć dalej. Rycerz bez skazy, genjusz spisku odbija więc od brzegów Kameczatki na zdobytym okręcie wraz z całą swoją spiskową czeredą. Wśród załogi „Piotra i Pawła“ znajduje się też i Nastazja..

Popłynie okręt-widmo na szerokie i dalekie wody Oceanu. Ocean przesłoni swoją krasą ludzi i wydarzenia. Stanie się poematem wrażeń W. Sieroszewskiego. Jemu i nikomu innemu odda Sieroszewski na usługi pióro swoje.

Groza, piękno stanie w nagim swoim majestacie. Jak huczą te fale monza Ochockiego! Jak straszną jest cisza wśród Oceanu pod równikiem! Ile epickiego piękna posiada taka walka z rekinami..

Bajka przygód płynie za to dożyć monotennie. Nastazja na okręcie zasłabnie. Jeszcze kilka razy „czarny charakter i zazdrośnik“ Stiepanow zechce odebrać ją Beniowskiemu, uknuje spisek, ale konfederata ze wszystkiego wychodzi obronaną ręką.

Okręt Beniowskiego jest przytem zaczarowany. Posiada we wnętrzu swoim skarby, o jakich się nawet marzycielom nie śniło. Zwiedza wyspy, wysepki od zatoki Beringa, przez Japonię, Fosmożę aż do lądów pasą zwrotnikowego.

Wszystko się powie dzie Beniowskiemu. Umie panować nad swoimi spiskowcami. Nie bardzo są onj zresztą pomysłowi. Knowania swoje zawsze tak jednostajnie planują. Nie może więc z tej racji zapewne pokazać Beniowski wszystkich właściwości swojej psychiki. Jest wielkością statyczną, o zasobach duszy zgóry przewidzianych.

Złowrogj Ocean zabierze Beniowskiemu Nastazję. Tak wyczerpie

ją ta jazda po Oceanie, że suchoty nieublagane doprowadzą do katastrofy. Dopiero przy śmiertelnym łożu Nastazji Stiepanow pogodzi się z Beniowskim.

Przygody Oceanu zamyka ta smętna i pełna grozy scena.

Wysuwa się jednak na czoło narracji materiał etnograficzny i opisy przygody.

Przyjęcie u japońskiego bonzy Uni-Kama czy też zwyczaj dziwnych mieszkańców Oceanu, na wpał chrześcijan, na wpał bałwochwalców, zainteresowują w tak wielkim stopniu, że chwilami zapomina się o głównych bohaterach. Sieroszewski pozostawia ich zresztą w cieniu.

Nic nowego nie mówią te postacie w tomie drugim przygód Beniowskiego. Nic się nie zmieniają. Jakimi poznaliśmy ich w tomie pierwszym — takich spotykamy w „Oceanie“.

A przecież czary przyrody, walka z żywiołem, obyczaj egzotyczny wschodni żlobią swoje piętno na duszach. W powieści Sieroszewskiego mówią przedewszystkiem przyroda, mówią otoczenie...

Czyta się ją z zainteresowaniem. Chwilami napina uwagę i oszalałami wyobraźnię bogactwem kolorytu. Bajka tylko wlece się leniwie, nie przysparza wcale motywów psychologicznie lub moralnie ciekawych.

Wacław Sieroszewski, mistrz pióra, osiągnął i w tej swojej pracy spokojną równowagę obserwatora krajów egzotycznych. Opisuje on te wszystkie swoje przeżycia z epicką powagą. Daje arcyciekawy artystyczny obraz Wschodu i umie wywołać uczucie miłej tklivości i ciepła dla swoich obserwacji.

Zapewne „Ocean“ zyska sobie szeroką poczytność. Jest przecież dziełem pierwszorzędnego pisarza, opowiada o przygodach Beniowskiego, opisuje kraj bajki „Wschód“. I co najważniejsze, śpiewa hymn „Oceanowi“. Ślawi żywioł, ubóstwia ślepa, tajemniczą potęgę i wskazuje, jak wola jednego człowieka potrafi prowadzić całą falangę do mirażu szczęścia i wolności.

Eust. Czekałski.



Z literatury.

Powrót.

Czy wojna ma jakiś sens moralny? Czy jest tylko bezmyślnym morderstwem milionów ludzi? Co daje człowiekowi i co zabiera jego władzom duszy, serca i umysłu? Wojnę znamy z tysiąca opisów, nowelek, a nawet bajek, których już teraz mnoży się liczba zastraszająca. Opowiadają nam zdarzenia, fakty, wypadki różni pisarze, ale jak zbliża się do wojny wrażliwa i moralna świadomość ludzka, tego dotychczas, niestety, nie zauważyliśmy u nas w Polsce. Raz tylko Andrzej Strug zdarł maskę z twarzy żołnierskiej, gdy opowiadał słynny odwrót do Krakowa w pamiętną noc jesieni 1914 r. A pozatem? opisy, opisy i jeszcze raz zdjęcia fotograficzne.

Spojrzyć w głąb piekła odważył się też Stanisław Przybyszewski. Robi to ze zwykłą swoją metodycznością i na swój sposób: widzi on przecież człowieka przez grzech i w tym promieniu szukał w gigantycznym rozlewie krwi odkupienia i wyzwolenia. Nie wszystkim może przypaść do gustu tego rodzaju kąt widzenia. Ale jednak jest to już zaduma nad tem, co się dzieje, jest chęć odszukania tajemnych nici motorycznych jaźni ludzkiej. Jeżeli ktoś poszedł dobrowolnie na wojnę, zaciągnął się do szeregu legionowego — to uczynił rzecz tę w imię jakiegoś rozkaznika wewnętrznego. Rozkazniki te są różne, ale trzeba je pokazać. Nasza literatura legionowa nie wydołała jeszcze moralnego oblicza żołnierstwa polskiego.

St. Przybyszewski czyni tego rodzaju próby. Otworzy na ścieżaj bohaterką duszę Janty, Nieczuja, Okszy i dopatrzy się wszędzie na dnie ich czynów przyczyn definitywnych: ci ludzie musieli tak żyć i tak umierać, bo w przyczynowym łańcuchu ich życia znajdują się powody imperatywne. Wrócił Janta z szablą w rękę ziemię polską wrogowi wydzierać, bo przehandlował, zmarnował własny zagon. Polegnie na ziemi rodzinnej, zmyje hańbę z duszy. Nieczuja znów zwiódł siostrę przyjacielowi Rogoszowi. Jest teraz współtowarzyszem broni. Wina Nieczuja kładzie na niego welon szalonej odwagi. Krwią odkupi swój grzech, a Rogosz sam obwieści żołnierzom, że odkupił swój błąd przez bohaterką śmierć.

Wreszcie w trzeciej noweli p. t. „Kamień ruchomy“ Oksza ma na sumieniu śmierć człowieka, którego stracił, bo kochał jego żonę. Znów śmierć bohatera na podwórzu jego dworu, znów odkupienie wina przez krew...

Wszystkie te trzy nowele St. Przybyszewskiego nie przynoszą nowych rewelacji w talencie tego wielkiej miary pisarza. Wizyjność pełna grozy i potęgi, jak lianami ochwytyje mózg człowieka. Bogactwo i rozlewność słowa płynię łańtwo, rytmicznie. W każdym razie i na tym zbiorze prac St. Przybyszewskiego znać lwi pazur: patrzy człowiek w du-

sze ludzkie myślenie i szuka w nich, jak nurek w otchłaniach fal morskich, pereł świadomego stosunku żołnierza do życia i jego przeznaczeń.

A to jest rzecz niezwykła w naszej literaturze!

Wielkie klęski społeczne.

Dr. med. Alfred Sokołowski na Wyższych Kursach Naukowych w semestrze zimowym wygłosił cały cykl prelekcji na temat „O celach i zadaniach medycyny społecznej“. Wykłady te cieszyły się wielkiem zainteresowaniem tak ze względu na temat, jak i na osobę prelegenta.

Zostały poruszone kwestje higieny społecznej i związane z nią sprawy zjawisk chorobotwórczych. Dr. Sokołowski w wyczerpującym wstępie omówił historię prawodawstwa i przepisów sanitarnych w Europie oraz historię medycyny społecznej w Polsce w epoce dawniejszej i porozbiorowej. Następnie wyłożył dr. Sokołowski sposoby walki z ospą, chorobami tyfusowymi, dżumą, grypą, cholera, suchotami, chorobami wenerycznymi i alkoholizmem.

Obecnie wykłady te zjawily się w odbite książkowej. Dr. Sokołowski w wykładzie wstępnym mówi:

„Rozwój higieny społecznej zawdzięczamy mozołnym pracom całego zastępu niepospolitych umysłów lekarzy i przyrodników, dokonany w ciągu całego niemal wieku XIX. Dopiero jednakże w drugiej połowie zeszłego stulecia nastąpił postęp przełomowy w tej gałęzi wiedzy, dzięki wielkim odkryciom Pasteur'a, Koch'a i innych uczonych, wśród których podnieść należy nazwisko naszego rodaka Marcelego Nenckiego“.

Wogóle wykład dr. Sokołowskiego oparty jest na statystyce porównawczej; ale zawsze ma na względzie stosunki specjalnie polskie. Z tej racji książka dr. Sokołowskiego jest swojego rodzaju publicystyką w zakresie higieny społecznej i warto, by zapoznał się z nią cały inteligentny polski ogół.

W dni pokoju i wojny.

P. Marja Kuźmińska wydała zbiorek wierszy p. t. „W dni pokoju i wojny“. Tendencja tych utworów jest zawsze szlachetna, ale nie zawsze napięcie uczuciowe dostraja się do głębokości tonu artystycznego, jaki chciałaby autorka wywołać. Niektóre wiersze mają charakter raczej okolicznościowo-polemiczny. Stosunkowo najbardziej udatnym w wyrazie jest sonet „Wśród sarkofagów królewskich Wawelu“. Szczery też jest cykl poświęcony „Matce“. W każdym razie wiersze p. Marji Kuźmińskiej świadczą, że autorka jest wrażliwą na wszystkie te wielkie przemiany dziejowe, w jakie wtrącała nas wojna. Uczucia jej i myśli charakteryzują chwilę obecną i dla przyszłości może będą interesujące przez swoją ideową barwę.